

Wojna wewnątrz islamu

9 października 2010

Dwoje czytelników zadało mi pytania, na które warto odpowiedzieć. Pierwsze dotyczyło tego, czy islam sam w sobie nie jest wrogiem, drugie natomiast – izraelskiego punktu widzenia.

Co do pierwszego pytania, chcę zaznaczyć, że islam jako funkcjonująca w świecie religia nie prowadzi z nikim wojny. Są tacy, którzy chcą skierować islam ku aktywnej wojnie przeciw stylowi życia większości współczesnych muzułmanów oraz przeciwko prawie wszystkim rządóm sprawującym nad nimi władzę, używając do tego obowiązujących cytatów oraz interpretacji. I jest też przeciwstawiająca się im o wiele większa grupa, w tym większość wspomnianych rządów, która również posługuje się obowiązującymi cytatami i interpretacjami islamu.

Błędem zachodnich przywódców oraz mediów nie jest to, że nie są „antyislamscy” lub że są „proislamscy”, lecz to, iż nie rozumieją w pełni konfliktu, jaki rozgrywa się między muzułmanami, spierających się sił, stawek ani natury tej walki. Dlatego wrogowie islamistyczni są często źle oceniani jako przyjaciele tylko dlatego, że w tej chwili nie są brutalni lub mówią uspokajające słowa zachodniej publiczności, podczas gdy prawdziwie umiarkowani muzułmanie są pomijani jako „nieautentyczni”, bo nie zgadzają się z radykałami.

Jeszcze raz: wrogiem nie jest islam, lecz ci muzułmanie, którzy – tak to ujmijmy – chcą uczynić z islamu wroga przez toczenie wojny z innymi – włączając w to innych muzułmanów. Czynią to przy pomocy propagandy, organizacji, przemocy i, co najważniejsze, przejęcie władzy państwowej, by wprowadzić totalitarny reżim i narzucić wojnę wszystkim, włączając w to nieislamistyczne rządy muzułmańskie. To, czy te konkretne grupy używają przemocy w danym miejscu lub czasie, jest mniej istotne od celu, jaki chcą osiągnąć, łącznie ze wszystkimi

strategiami oraz taktykami ich dowódców.

Walka z Zachodem lub Izraelem jest generalnie mniej nasilona niż walka pośród samych muzułmanów o kontrolę nad interpretacją islamu oraz o władzę polityczną. Wymieńmy tu szczególnie:

- wojnę domową w Algierii, przynoszącą dziesiątki tysięcy zabitych, rannych i torturowanych zarówno przez islamistów, jak i przedstawicieli rządu;
- mniejszą wojnę domową w Egipcie, trwającą głównie w latach 90., której wynikiem były setki zabitych oraz zamach na prezydenta;
- krwawą wojnę domową w Iraku, w której sunniti używali terroru wobec szyitów, kurdyjskich sunnitów oraz chrześcijan, jak również znajdujących się tam ludzi z Zachodu. Zdarzają się walki o władzę między szyitami wewnątrz ich społeczności oraz o kontrolę w państwie;
- niewielkie powstanie w Arabii Saudyjskiej, które pochłonęło wielką liczbę ofiar, a także wojnę domową w Jemenie;
- porewolucyjne represje w Iranie, sięgające szczytu po sfałszowaniu wyników wyborów, oraz okrucieństwa irańskiego reżimu w zeszłym roku;
- rywalizację Hamasu i Fatahu wśród Palestyńczyków, zakończoną zyskaniem kontroli przez tę pierwszą grupę nad strefą Gazy;
- walkę o Liban między Hezbollahem, wspieranym przez Iran i Syrię, a nieislamistycznymi sunnitami, chrześcijanami i społecznościami Druzów.
- krwawe walki i konflikt w Pakistanie oraz Afganistanie, które wyniszczyły duże obszary obu krajów i spowodowały śmierć wielu osób, a także ubóstwo;
- mniej widoczne, lecz nie mniej ważne boje islamistów o

kontrolę nad społecznościami muzułmańskimi w Europie i Ameryce Północnej. Niestety, z powodu ignorancji rządy tych państw pomagały często stronie islamistów.

Można by przytoczyć jeszcze wiele przykładów przemocy oraz gorących sporów i rywalizacji, które toczą się w świecie islamu aż do Indonezji, nawet wojnę Iranu z Irakiem. Ilu muzułmanów zginęło w tych walkach? Z pewnością setki tysięcy, wielokrotnie więcej niż w konflikcie arabsko-izraelskim, i to w dużo krótszym czasie.

Imam domagający się budowy meczetu przy Strefie Zero powiedział publicznie, że Zachód ma na rękach więcej muzułmańskiej krwi niż muzułmanie, którzy zabijali niewinnych ludzi Zachodu. Zauważcie użycie słowa „niewinny” przy drugiej grupie, ale nie przy pierwszej. Innymi słowy, jeśli zachodni żołnierz zabija Taliba w Afganistanie lub sunnickiego rebelianta-terrorystę w Iraku w obronie własnej, jest to równe zabijaniu z premedytacją cywilów w atakach z 11 września lub na londyńskie metro.

Ale odłóżmy to na bok. Gdyby on lub inni, którzy nadużywają swojego stanowiska, mieli naprawdę umiarkowane poglądy, jako pierwsi potępiłoby rewolucyjnych islamistów mordujących muzułmanów. Jeśli nie popierają którejś ze stron w swoich wewnętrznych sporach i nie wybierają nietotalitarnej strony tych sporów, to dlaczego mielibyśmy oczekiwać od nich umiarkowania w zachowaniu wobec Zachodu?

To, co się dzieje, nie powinno być więc definiowane jako muzułmańska walka z Zachodem (tak opisują to rewolucyjni islamiści), lecz jako walka między muzułmanami o to, kto powinien rządzić i definiować ich kraje, społeczności oraz religię. Prawdziwy konflikt z Zachodem – lub nawet z Izraelem – mógłby mieć miejsce dopiero po tym, jak islamiści podbiją innych muzułmanów oraz podporządkują ich islamistycznej dyktaturze. Miejmy nadzieję, że do tego nigdy nie dojdzie.

Dlatego każdy, kto zajmuje stronę tych umiarkowanych, nacjonalistów, tradycjonalistów, którzy sprzeciwiają się rewolucyjnym islamistom, robi coś dobrego dla ogółu muzułmanów. Natomiast poparcie dla rewolucyjnych islamistów jest bardziej muzułmanofobiczne niż jakakolwiek krytyka ekstremistycznych elementów islamu.

Muzułmanofobia jest dobrym określeniem, chociaż musiałem je ukuć. Oznacza ona chęć wprowadzenia na siłę dyktatury pośród muzułmanów, aby zracjonalizować represyjne dyktatury, które już rządzą, a także zracjonalizować rewolucyjne grupy angażujące się w morderstwa i dążące do nieustannej wojny i ludobójstwa. Na przykład przywódca, który nie potępił sfałszowania wyników wyborów i zaostrożonych represji w Iranie w zeszłym roku, działa w muzułmanofobiczny sposób, ponieważ taka polityka krzywdzi miliony muzułmanów. Zachodnie rządy, które nie próbują usilnie osłabić i obalić reżimu Hamasu w strefie Gazy, postępują muzułmanofobicznie wobec jego ofiar.

Najlepszą rzeczą, jaką można zrobić dla muzułmanów i dla islamu, jest pomoc w jak najszybszym wygraniu wojny przeciw rewolucyjnym islamistom, tak samo jak najlepszą pomocą dla Niemców, Włochów i Japończyków podczas II wojny światowej albo dla krajów bloku radzieckiego w czasie zimnej wojny było pokonanie panujących w nich reżimów oraz ideologii.

Podobnie jak nie wszyscy liberałowie czy socjaliści byli komunistami, tak samo nie wszyscy konserwatyści lub nacjonaści są faktycznie faszystami. Trzeba zdefiniować wroga, a to zazwyczaj jest ktoś, kto chce nas zabić lub zniszczyć, uciskać albo zniewolić, niezależnie od tego, czy zamierza to zrobić w tym momencie, czy po prostu czeka, aż poczuje się wystarczająco mocny, by wygrać.

Dlatego wrogiem nie jest islam, lecz ci konkretni muzułmanie oraz ich zwolennicy, którzy chcą mieć monopol na jego definiowanie, zabijają każdego, kto się z nimi nie zgadza, nakładają okropne dyktatury na innych muzułmanów, jednoczą ich

do walki przeciwko wszystkim innym, wprowadzają zacofanie społeczne i ekonomiczne w krajach z przewagą muzułmanów, a także pogrążają świat w dziesięcioleciach terroru i rozlewu krwi.

Jeśli chodzi o drugie pytanie, dotyczące izraelskiego punktu widzenia islamu i islamizmu, pozwólcie, że ujmę to prosto i zwięźle. Jest różnica pomiędzy tymi, którzy nas nienawidzą, ale nie mają zamiaru nic z tym zrobić – nawet jeśli oznacza to, iż będą atakować nas słownie lub dawać pieniądze islamistycznym grupom – a tymi, którzy nas nienawidzą i będą nas zabijać nawet za cenę wysokiego ryzyka dla nich samych.

Z tą pierwszą grupą możemy sobie poradzić, z tą drugą musimy walczyć. Do pierwszej grupy należą: większość arabskich nacjonalistów oraz wszystkie arabskie reżimy poza Syrią (która cynicznie, lecz sprytnie poparła islamistów), strefą Gazy (rządzoną przez islamistyczny reżim) i nieobliczalną Libią, a także większość arabskich obywateli Izraela.

Do drugiej kategorii zalicza się Hamas, Hezbollah, Iran, Syria, Bractwo Muzułmańskie oraz Libia. Musimy tak działać, by zminimalizować ich władzę oraz by upewnić się, że rewolucyjni islamiści nie przejmą więcej krajów mogących posłużyć za bazę do ataku na Izrael, a także nie zastraszą innych arabskich reżimów oraz Zachodu, by były pasywne.

Izraelczyk, w przeciwieństwie do większości Żydów żyjących na wygnaniu lub – jeśli wolicie to tak nazywać – w diasporze, rozumie to. Nie jest ważne to, czy ludzie nas nienawidzą, czy też nie, lecz to, co robią z tą nienawiścią oraz czy ich działania stanowią bezpośrednie zagrożenie. Dla Żydów w diasporze nienawiść sama w sobie jest w wysokim stopniu zagrożeniem, ponieważ nie mogą się oni obronić i są zależni od dobrej opinii oraz ochrony swoich nieżydowskich sąsiadów. Nienawistna mowa jest odpowiednikiem wielkiego zagrożenia. W Izraelu słowa są tylko słowami.

Pewien Izraelczyk wybierający się do Maroka w interesach, zapytany o to, czy nie boi się jechać do kraju, w którym ludzie nienawidzą Izraela, wzruszył ramionami i odpowiedział: „wszędzie nas nienawidzą. I co z tego?”.

Nie powinno to prowadzić do utraty zainteresowania publiczną dyplomacją, czyli hasbarą (choć Izraelczycy mają na tym punkcie mniejszą obsesję niż Żydzi w diasporze, bo ci ostatni powinni tacy być), ale do zrozumienia, że w każdej dyskusji między materialną rzeczywistością a słowami to pierwsze musi mieć większą wagę. Lub – jak ujęła to Golda Meir: „Lepsza zła prasa niż dobre epitafium”.

Więc te rzeczy mają znaczenie. Rewolucyjni (albo radykalni) islamiści są zagrożeniem. Zwyczajni muzułmanie, zeświecczeni czy też umiarkowani, konserwatywni tradycjonałiści czy nacjonałiści arabscy (obecnie, a nie w przeszłości) są zagrożeniem dużo mniejszym.

Jeśli na przykład Bractwo Muzułmańskie przejmie Egipt i zrobi z niego nowy Iran, będzie wojowniczo nastawione do Ameryki i Zachodu, zaangażuje się w masowe represje i rozpocznie wojnę z Izraelem, to kogo będzie obchodziło to, czy wygrali wybory czy używali przemocy przez ostatnie dziesięciolecie? (db)

Autor: prof. Barry Rubin

Tłumaczenie: Pani Jeziora

Źródło oryginalne: www.globalpolitician.com

Źródło polskie: Euroislam

O AUTORZE

Profesor Barry Rubin jest dyrektorem centrum Global Research in International Affairs – GLORIA (Globalne Badania Spraw Międzynarodowych). Jego nowa książka nosi tytuł The Truth about Syria (Palgrave – Macmillan); napisał również The Israel-Arab Reader: A Documentary History of the Middle East Conflict.